

Euro ból

2 czerwca 2012

Euro 2012 na Ukrainie i w Polsce miało być sportowym świętem i okazją do pokazaniu światu, że kraje Europy Wschodniej dołączyły cywilizacyjnie do Zachodu. Jednak napięcia polityczne tonują euforię, wprowadzając obawę, że mistrzostwa okażą się wizerunkową porażką.

Kiedy 18 kwietnia 2007 w Cardiff ogłoszono, że Komitet Wykonawczy UEFA przyznał organizację Mistrzostw Europy w piłce nożnej wspólnej kandydaturze Ukrainy i Polski w Kijowie oraz w Warszawie, zapanowała euforia.

Oferta przygotowana jeszcze w 2003 r. przez Hryhorija Surkisa, prezesa Ukraińskiego Związku Piłki Nożnej, do której dokooptowano później Polskę, idealnie splatała się z wizją prezesa UEFA Michela Platinięgo, dla którego ekspansja piłki nożnej na nowe rynki stała się kwestią priorytetową. Francuski dziennik „L'Equipe” pisał wówczas, że był to wybór podobny do przyznania mistrzostw świata 2010 RPA. Ekspansja na nowe rynki i dyktowana polityką chęć przypodobania się tym, których dotychczas spychano na margines.

„Od tej pory synekury dla starych znajomych już nie wyglądają tak pewnie jak wcześniej. Może futbol przestał być zamkniętym sklepem dla potężnych i bogatych?” – komentował „Guardian”. Decyzja UEFA była podyktowana jedynie kwestiami pozasportowymi. Piłkarskie zaplecze i infrastruktura w obu krajach pozostawiały wiele do życzenia. Postawiono na zapał, dobre chęci i wiarę w to, że Ukraina i Polska zdążą na czas poprawić wszelkie niedoskonałości. A to było niemal pewne, gdyż dla obu krajów Euro 2012 miało być imprezą, która uzmysłowiłaby reszcie świata, że społeczeństwa postkomunistyczne coraz bardziej włączają się w zachodni główny nurt.

SZANSA NA SUKCES

Wspólna organizacja mistrzostw wpisywała się w ówczesną politykę obu krajów i pasowała idealnie do szerszego geopolitycznego celu, jakim było umocnienie więzi między oboma sąsiednimi krajami i wprowadzenie Ukrainy do euroatlantyckich struktur. Dla Polski przeciąganie Ukrainy na zachodnie, europejskie tory było kwestią kluczową od lat 90. Dla Ukrainy zawieszona na cienkiej, politycznej linii między Unią Europejską a Federacją Rosyjską EURO 2012 miało być lekkim wychyleniem na Zachód.

Zwłaszcza że ówczesny prezydent Ukrainy Leonid Kuczma postanowił odejść od „wielowektorowej polityki zagranicznej” i zgłosił akces do NATO. Wbrew pozorom sport i polityka bardzo często idą w parze, gdyż każdemu ważnemu wydarzeniu sportowemu przyświeca jakaś polityczna idea. Zwykle takiej imprezie przyświeca dewiza zademonstrowania osiągniętej siły i znaczenia. Prężenia ekonomicznych muskułów. Albo zaprezentowania się z nowej, nieznanej powszechnie strony.

Tego typu narrację przywódcy spodziewają się sprzedać społeczeństwom zarówno w kraju, jak i za granicą. Tak było w przypadku Chin, dla których polityczny sens Igrzysk Olimpijskich w 2008 r. w Pekinie polegał na symbolicznym zaprezentowaniu się Państwa Środka w roli światowego supermocarstwa. Inną strategię mieli Niemcy, organizując Mistrzostwa Świata w piłce nożnej w roku 2008. Impreza piłkarska ukazała wtedy entuzjastyczny, nowoczesny patriotyzm niemiecki i przełamała tabu narodowej niemieckiej dumy skrywanej po hekatombie drugiej wojny światowej. Polsko-ukraińska polityczna narracja z okazji EURO 2012 miała pokazać jedność w dążeniu do zachodnich struktur oraz cywilizacyjny, społeczny, polityczny i gospodarczy sukces przemian ustrojowych. Szybko się jednak okazało, że nie będzie to takie proste.

RAZEM, A JEDNAK OSOBNO

Już rok po przyznaniu Euro Polsce i Ukrainie polityczna wizja mistrzostw zaczęła blaknąć. Najpierw aspiracje Ukrainy do członkostwa w NATO zostały bezterminowo odłożone. A potem jaśniejszą wcześniejszą pomarańczową rewolucją Ukraina zaczęła przygasać. I chociaż ówczesny prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko oraz prezydent Polski Lech Kaczyński próbowali grać wspólnie i ofensywnie, to jednak dla obu krajów zaczęły się mnożyć komplikacje.

Polityczny i kulturalny wymiar Euro 2012 gdzieś zniknął, a na pierwszy plan wysunęła się modernizacja komunikacyjnej infrastruktury i obiektów sportowych. Realizację tych planów skomplikował głęboki kryzys finansowy na Ukrainie, której ekonomia opierała się na przemyśle ciężkim i wydobywczym. To zaś u wschodnich sąsiadów Polski doprowadziło do politycznych napięć i zmian wśród elit. Kiedy zaś na Ukrainie bulgotał polityczny kocioł na łamach polskiej prasy, pojawiły się pomysły, aby całe EURO 2012 organizować po polskiej stronie.

Piżkarskie święto, które miało zbliżyć dwa narody, stało się kłopotliwym politycznie wydarzeniem, które jakoś trzeba przeżyć. Razem, choć lepiej by było osobno. Im bliżej mistrzostw, ten dwu głos rozbrzmiewał coraz bardziej donośnie. Polska na tle przeżywającej problemy Ukrainy zapragnęła zabłysnąć. Zwłaszcza kiedy Ukraina wycofała swój wniosek o przyjęcie do NATO, a aresztowanie Tymoszenko wywołało konflikt dyplomatyczny i niechęć elit zachodnich. Po fiasku idei wspólnego przedsięwzięcia polski rząd zmienił polityczną narrację. Na wewnętrzny samozachwyt. W tej wizji Euro 2012 miało pokazać ogrom pracy i drogę, jaką pokonała Polska od roku 1989. ME mają być laurką złożoną w hołdzie sukcesom „zielonej wyspy”. I świadectwem cywilizacyjnej dojrzałości.

POLSKI SAMOBÓJ

Wiadomo już, że planu pięcioletniego nie uda się wykonać. Według obliczeń Zespołu Doradców Gospodarczych TOR w dziedzinie dróg udało się zrealizować 40 proc. pierwotnych

założeń, a na kolei 50 proc. 100 proc. normy wykonano jedynie na lotniskach. Najwięcej problemów mogą fanom piłki nożnej przysporzyć drogi. Przybywających na EURO 2012 kibiców nasz kraj przywita narodową specjalnością: polską drogą wąską, zrytą i dziurawą jak szwajcarski ser. Rząd obiecał, że przed EURO 2012 powstanie 900 km autostrad i 2,1 tys. tras ekspresowych. Hurraoptymistyczne założenia i plany szybko trzeba było zweryfikować.

W kwestii infrastruktury Polaków zgubiło to, co zawsze: wiara w cuda, bezkrytyczny entuzjazm i pewność, że „jakoś to będzie”. Dodatkowo polityczny nacisk na wykonawców i prymat ceny w przetargach jako jedyne kryterium rozstrzygającego o kontraktach doprowadziły do kłopotów z jakością budowanych tras oraz bankructw małych podwykonawców. Ze snu o potęgę i zachwyty nad EURO 2012 powoli budzi się także społeczeństwo. Od maja 2007 r. entuzjazm Polaków systematycznie spada, rośnie natomiast obojętność. Pięć lat temu prawie dwie trzecie ankietowanych (64 proc.) było zadowolonych z faktu organizacji Mistrzostw Europy, teraz według sondażu CBOS cieszy się zaledwie 44 proc. Początkowy entuzjazm zanikał wraz z upływem czasu i wchłanianiem nowych informacji. Zwłaszcza że z każdym miesiącem padały kolejne mity związane z organizowaniem ME.

Jak wcześniej rozeszły się drogi polskich i ukraińskich polityków, tak w końcu doszło do rozminięcia się polskich elit i obywateli, którzy coraz częściej i głośniejsze zaczęli wyrażać wątpliwości w kwestii sensowności olbrzymich wydatków na organizację piłkarskiego święta. A do tego dochodzą problemy związane z bezpieczeństwem i bydlęcym rasizmem na wschodnioeuropejskich stadionach, którego zachodni kibice i dziennikarze obawiają się bardziej niż korków. Rozwiały się też mrzonki o wielkim wpływie ME na rozwój gospodarczy. Wiadomo, że na Euro 2012 najwięcej zarobi UEFA (1,5 mld euro).

Dla krajów organizatorów wpływy są minimalne, a jak pokazuje przykład Portugalii, mistrzostwa mogą się stać ekonomiczną katastrofą. Problemów, wątpliwości i negatywnych emocji

namnożyło się tak dużo, że jedyną szansą na to, aby Euro 2012 na Ukrainie i w Polsce nie okazało się całkowitą kłapą, jest sukces sportowy drużyny narodowej któregoś z gospodarzy mistrzostw. A to byłby jeszcze większy cud niż wybudowanie autostrad na czas.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)